

RECENZJA

# WOJCIESZEK JAK STUDIO YAYO



WITOLD  
MROZEK

GAZETA WYBORCZA

FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA GAZETA



Próba spektaklu „Polska krew” w reżyserii Przemysława Wojcieszka w Teatrze TrzyRzeczce przy ul. Suzina

**P**iS wygrywa, bo jego wyborcy i działacze mają nieudane życie seksualne - taką diagnozą częściej nas Przemysław Wojcieszek.

Bohaterem wystawionej w Teatrze TrzyRzeczce (dawne kino Tęcza) sztuki „Polska krew” jest młody impotent z legitymacją partii rządzącej w kieszeni, pochodzący na oko z warszawskiej inteligentkiej rodziny. Jego żona to z kolei zajadła i zarazem lubieżna antysemitka spod Tarnowa, która nie wstydi się swojego rasizmu, podziwia „Mariana” (zapewne Kowalskiego) i należy do ONR. Czolo stawia im młody aktor serialowy z partnerką dziennikarką, która nie dostała grantu na książkę, uczestnicy marszów Komitetu Obrony Demokracji.

Dwie pary, niby kwintesencja mieszczańskiej farsy. Przedstawianie oponentów jako seksualnie zaburzonych czy niewydolnych też ma długą tradycję. Stereotyp goni tu stereotyp: młoda twarz KOD lubi prosecco, PiS-owiec preferuje swojskie piwko. Obrońcy demokracji wciągają kreskę za kreską, pravicowcy stroną od narkotyków.

Brak intrygi Wojcieszek nadrabia rzucaniem suchych żartów. Brak społecznych rozpoznań - kliszami. Brak reżyserii wreszcie próbuje zamaskować konwencją dyskoteki - podrygiwania przez dwie godziny i przekrzykiwania muzyki, która przyda się też na koniec do zrytmizowania oklasków.

„Polska krew” to satyra bezpieczna, rytualna, a przede wszystkim niezbyt śmieszna. Fabuła, oparta na szantażu materiałami pornograficznymi z udziałem aktora, rozmywa się, gubi pod naporem czerstwych gagów.

Łopatologicznym diagnozom Wojcieszka nie pomaga fakt, że niby dostaje się tu obu stronom wojny polsko-polskiej. Autor „Polskiej

krwi” zauważa np., że młodzi fani KOD nie wiedzą, o co właściwie chodzi z tym Trybunałem Konstytucyjnym. Albo że wieszaki, które młoda leminżycza wysłała do kancelarii premiera w ramach protestu przeciwko zaostreniu ustawy antyaborcyjnej, są tak designerskie, że aż szkoda jej się ich pozbywać. Działacz PiS z kolei podśmiechuje się z zaściankowości swojej małżonki, a w rzeczywistości pragnie Żydówki.

Żeby napisać przyzwoitą mieszczańską komedię czy polityczną farsę, trzeba mieć jako taki społeczny słuch. Wojcieszek gdzieś go zgubił. 42-letni reżyser, twórca głośnego niegdyś „Made in Poland” (Teatr im. Modrzejewskiej w Legnicy, premiera w 2004 r.) bardzo chce znów uchwycić obraz młodego pokolenia. Tęgo, które przechodziło z podstawówki do gimnazjum, gdy wkurzony bohater, grany przez Eryka Lubosa, rozwalal łomem samocho-

dy na legnickim osiedlu z wytatowanym na czole „Fuck off!”. Nowi młodzi bohaterowie Wojcieszka są jednak ulepieni z najtańszych gazetowych bon motów. Nie ma w nich jednej autentycznej emocji, prawdziwego lęku, rymującego się z rzeczywistością za oknem doświad-

czenia. Wojcieszek nie dostrzega konfliktu pokoleniowego, różnic w postrzeganiu świata między autorytetami KOD a „młodzieżą” pod trzydziestkę, która wcale nie stawia się chętnie na demonstracjach.

Nie widzi braku zaufania do dawnych elit, do wskrzeszanej na mar-

szach estetyki solidarnościowej opozycji. Nie widzi wreszcie ekonomicznej niepewności. Zresztą rzeczywistość ekonomiczna za bardzo w „Polskiej krwi” nie istnieje.

W teatrze łatwiej schować się za ironiczny nawias, powiedzieć, że cała ta parodia polskiego „nowego brutalizmu” sprzed parunastu lat to celowa, przegięta stylizacja. Ale jak na ucieczkę w krainę wyobraźni i absurdu „Polska krew” zdradza zbyt duże realistyczne ambicje. Mimo fantazmatycznej postaci dominującej Żydówki, której pożądamy tu i PiS-owiec, i młody opozycjonista.

Co jeszcze ich łączy? Wszyscy tu odwołują się do Piłsudskiego i sanacji, a nie pamiętają, że ta strzelała do robotników i że sam Marszałek o Polakach wyrażał się często źle, co Wojcieszek przypomina. Dlaczego jego zdaniem demokracja w Polsce nie jest możliwa? Bo żadna klasa społeczna nie potrafi tutaj być solidarna z inną. Tak jakby nowoczesne, demokratyczne społeczeństwa nie opierały się na konflikcie.

Wojcieszek swoją niezbyt udaną bulwarówkę usiłuje w duchu tradycji inteligenckiego etosu sprzedać jako akt heroicznej odwagi, polityczny skandal, nieledwie męczeństwo. W wywiadach reżyser opowiada o lęku, że prywatna scena w dawnym kinie Tęcza zostanie teraz zamknięta w ramach represji. I o tym, że w rządzonej przez Platformę Obywatelską Warszawie tak kontrowersyjnego tekstu nie chciał mu wystawić żaden publiczny teatr. Tę historię narcystycznie wplata nawet w jedną z kwestii wygłaszanych wprost do widzów. Być może powody odmów były jednak inne niż strach przed reżimem?

Jeżeli na Pietrzaka, Wolskiego i Studio Yayo „nasza strona” odpowie dowcipem takim jak Wojcieszka, to obok sądu konstytucyjnego, koni arabskich i mediów publicznych kolejną ofiarą naczelnika z Żoliborza stanie się poczucie humoru. Na szczęście odrasta ono znacznie szybciej niż Puszcza Białowieska. ●

**Jeżeli na Pietrzaka i Studio Yayo „nasza strona” odpowie dowcipem takim jak Wojcieszka, to obok sądu konstytucyjnego ofiarą naczelnika z Żoliborza stanie się poczucie humoru**

**Aby napisać przyzwoitą mieszczańską komedię czy polityczną farsę, trzeba mieć społeczny słuch. Wojcieszek gdzieś go zgubił**